

Już zdala doszła go grzmiąca wrzawa i niecodzienny hałas. Wpadł do długiej i nieco przyciemnionej sali o ścianach z ledwie heblowanych tarcic. Po obu stronach długiego a wąskiego stołu, mieściły się wśród zgiełku zielone mundury artylerii i granatowe piechoty. Każdy opowiadał swoje, pytał, wołał, nalegał na uwagę. Nikt nie słuchał, za ledwie pięte przez dziesiąte pochwyciwszy, już biegł do innych.

Wchodzącego Kleszewskiego natychmiast pochwylił mały blondyn, żywy jak iskra, roześmiany, rozbawiony. Był to porucznik dwunastego pułku piechoty, Jaś Zakrzewski.

— A co, a co? był u ciebie?

— Spytał mnie, czy byłem pod Sandomierzem — odrzekł Kleszewski pewny wrażenia.

Wywołało to admirację, której oczekiwał. Zahażył tem dwu słuchaczy właśnie go mijających.

— Stawał? — zawołał Jaś. — Koło mnie tylko przejechali. Kiedy usłyszałem trąbkę, myślałem, że kto z Warszawy, Fiszer albo Zajacek, patrzę, a to on! — Przy mnie także nie stawał — rzekł powoli kapitan Bielecki o chmurnych oczach i ostrożnych ruchach. — Wiadomo, zawsze to samo.

Podporucznik saperów, Swiejkowski, popychany przez innych w wązkim przejściu, zauważył:

— Siadajmy, bo już dają do stołu.

Zasiedli wśród powszechnego ruchu cisnących się do stołu kolegów.

— Mówże! — zawołał Jaś. — Cóż to było? Poznał cię tak, po urodzie?

— Ale! — rzekł Kleszewski. — Wiecie ilu ludzi choruje?...

— Bagatela! — wykrzyknął Jaś. — U mnie, już ich przestałem liczyć!

Swiejkowski uśmiechnął się z jakimś skrzywieniem przykrem, jak do płaczu i machnął ręką. Miał wąską, chudą twarz i głęboko wpadnięte, jasne i niezdrowo błyszczące oczy.

— Kiedy przyjechali, Mallet do mnie: czemu od niego nie żądałem innych? — opowiadał dalej Kleszewski.

— Jakto? — zawołał Jaś.

— Co? Co?

— Od Malleta?

— A żmija!

— Intryga — rzekł Bielecki z przekonaniem. — Nic, tylko intryga.

Wokół posypały się gorące krzyki oburzenia. Żądano powtórzenia. Kleszewski, odgrzany w tej bratniej atmosferze, powtarzał wiernie.

— A ty co? — wołał Jaś rozpalony.

— Dobry sobie! — oburzył się Kleszewski. — Cóżem miał mówić? Stałem i tyle. Nagle książę do mnie mówi: — Czyś to pan, poruczniku, był przy Bontemps'ie w Sandomierzu?

Znów umilkli wszyscy. Smakowali w milczeniu odezwanie się księcia, zjadając grochówkę.

— Niema co, tylko książę zna się na ludziach. To była nauczka dla Malleta — zdecydował Jaś.

— Zebym ja był komendantem, tobym mu poradził, jak z ludźmi postępować — rzekł Swiejkowski.

— Takiego nie nie nauczy — odparł Kleszewski. — Najpierwszą rzeczą jest sprawiedliwość. Cóż wart człowiek, jak jej nie ma?

— Wszystko to intryga — rzekł Bielecki. — Bo uważajcie koledzy: odrazu miał gotowy sposób. Stał przed tym frontem i jest! Miałem przyjaciela, który mi mówił, że ani kuli, ani bitwy się nie boi, tylko intrygi. Ta, jak się kogo przyczepi, to już najgorzej.

Bielecki spodziewał się, że słuchacze będą nalegać, by rozwinął szerzej tę myśl, ale widząc małą ich gorliwość, westchnął i umilkł.

Kleszewski tymczasem zajmował się wraz z towarzyszami roztrząsaniem kwestyi: czy będzie przegląd wojsk, czy też książę odjedzie bez przeglądu. Niespodzianie obiad się skończył, i wszyscy wysypali się, spiesząc na swoje wydziały.

Kleszewski szedł ze Swiejkowskim, który prowadził za sobą osiadanego konia. Przyjeżdżał bowiem na obiad z pod Nowego Dworu, gdzie był przy fortyfikacji przyczółków mostu na Narwi.

Wesele opadło, gdy się rozprószyli. Zaczęli myśleć o robocie. Swiejkowski pokaszliwał, idąc. Odezwiał się po chwili:

— Słysząc, że będzie wojna.

— To zawsze mówią — westchnął Kleszewski, machnąwszy ręką.

— Jest ruch wojsk nieprzyjacielskich na pograniczu litewskim.

— Wiesz co pewnego?

— Widzę — odrzekł Swiejkowski. — Byłem w Warszawie: wszędzie to znać, po biurach, po dyrekcjach.

Kleszewskiemu twarz się rozjaśniła.

— Bodajby raz!

Swiejkowski skrzywił się:

— Zal mi także ludzi. Znów tyle zginie.

— Potośmy się rodzili — odrzekł Kleszewski chępliwie.

— Ech — mruknął tamten niechętnie. — A czy ci — wskazał chłopów w parciankach zbabranych w glinie, wywożących taczki ziemi w górę — po to się rodzili, aby zgnieć od febrzy z braku suchego legowiska i żywności?

— Ale sypią szańce — odrzekł Kleszewski, starając się coś znaleźć równoważącego słowa saperskiego.

Swiejkowski ruszył ramionami:



— Mości poruczniku, czy nie pan to był przy sypaniu szanów Sandomierza?

— Nie mogę znaleźć racy — powiedział zdyszany chodem. — Myślę nad tem i myślę. Przypominasz sobie Podczaskiego Jana? Zginął pod Jedlińskiem, toś go musiał znać. Był moim kolegą. Nie było męźniejszego między nami, ani czystszej i czulszej duszy. Bił się pod Tczewem, pod Gdańskiem, pod Friedlandem. Aż jedna kula pod Jedlińskiem trafiła go: przeszła przez samo serce i zginął na wieki.

— Czy to on jeden? — rzekł Kleszewski. — Każdego z nas to samo czeka.

— Za wiele ginie — odpowiedział Swiejkowski potrząsając głową. — Widziałem pod Friedlandem, jak ładowano rannych na wozy. Którzy się zdali sierżantowi mieć rany zbyt ciężkie, tych kazał nieść na galary i topić w rzece. Patrzyłem na to sam ranny, nie nie mogłem! Rzucali tych nieszczęśliwych do wody i to kto? — swoi, bracia, towarzysze! Ci się chwytali desek ostatkiem siły — ci ich rąbali po rękę.

Umilkł zdyszany, przystanął. Kleszewski z odrazą odwracał myśl od okropności.

— Pewnie, że to nieładzkie — rzekł. — Ale ja o tem nie myślę. Nie dla nas litość. My, co? Żołnierze jesteśmy, idziemy bić się za ojczystą sprawę. Byliśmy zwycięzcy, to dosyć.

Swiejkowski założył nogę w strzemie i dźwignął się na konia.

— Szczęść ci Boże w pracy — rzekł do Kleszewskiego i ruszył koniem.

— Daj Boże i tobie — odparł porucznik chętnie. — A nie myśl o tamtych! — zawołał za nim.

## II.

Książę zaczął przegląd wszystkich pułków piechoty, stojących pod Modlinem. Pułki wyszły w niepełnym składzie, gdyż ludzie, którzy pracowali, nie zabrano, tylko drugą zmianę.

Poczęły się hasła trąbek, warkot bębnow. Rozwinęły się wojska na równym błoni w dole.

Z góry, z sypanych szanów, spoglądali ku nim żołnierze i chłopci, nieustraszenie kopiący, ładujący do taczek, wypychający pełne taczki na górę. Murarze, obmurowujący cegłą ściany wałów, cieśle, postawiali zapatrzeni.

Kleszewski przysiadł na wierzchu swego frontu, na ubitej linii i patrzył z żywym zajęciem, oczyma

znawcy. Widział, jak wystąpił pułk piechoty, drugi liniowy, ulubiony księcia, jak się rozwinął batalionami, jak ruszył marszem coraz szybszym, biegiem, pędem i jak na krótkie słowo komendy stanął tak równo, że ani jeden poza front nie wystąpił. Zobaczył marsze i obroty pułku szóstego, pułku, który w kampanii dziewiątego roku świetnie się odznaczył atakiem na bagnety pod Górą, potem zaś na przyczółkach mostowych pod Sandomierzem. Przy nim to utworzono oddział osobny z polskich żołnierzy, którzy przeszli z wojska austriackiego do polskiego i nosili wszyscy białe mundury, przerobione z austriackich.

Młody porucznik wspominał rażąco myślą te dzieje pełne męstwa i rycerskich przygód. Żywszem tempem szły mu myśli, goręcej biły tętna.

Wtem rozwinęła się długa linia, to pułk ósmy maszerował frontem z trzech batalionów. Istny skarbiec męstwa: Raszyn, Sandomierz, Jankowice, Wrzawy — ile szalonych ataków, ile żelaznej wytrwałości. Oczy widzą szeregi za szeregami i miarowe mienienie się kroków w rytmie marszu, a z poza tego jawi się pamięć chwały, dzielności niezłomnej.

Od kwietnia znał te pułki z blizka, z robót. Nabral wiadomości o nich nowych, dawne, zasłyszane w nieładzie, ułożyły mu się w świetną mozaikę. I biło mu serce, gdy patrzył. Nitki babiego lata płynące w powietrzu czepiały się jego kapelusza i pochylonych ramion. Rozkopana ziemia pachła, jak na wiosnę.

Nagle wstrząsnął wszystkiem ogromny okrzyk. Wzniosło go wojsko na cześć księcia. Musiał ich tam pochwalić za sprawną mustwę i dobrego ducha.

Porucznik Kleszewski wstał. Warknęły bębny. Orkiestry pułków poczęły grać marsza legionów. Jeden po drugim, pułki ruszały porządnie, odchodziły na kwatery. Oficerska konna gromadka wokół księcia ruszyła także, w stronę kwatery komendanta placu.

— Wyda bankiet dla księcia — domyślił się porucznik. Czuł, że gdyby mu co teraz podano, nie dałby się prosić dwa razy, zmiotłby wszystko i do czysta.

Otrząsnąwszy się rażąco, nagle zabrał się gorliwie do dozoru zaniedbanego od tak długiej chwili. Poskoczył do murarzy, powlekających murem od wewnątrz wysoko usypane wały. Wyszedł do nich na rusztowanie. Nie szczędząc nagany, jał sprawdzać pion i robotę i naglić, ciągle naglić.

Robił się zmierzch i zaczęło się odbieranie roboty. Ludzie schodzili z szanów. Porucznik spieszył ze wszystkim, by prędzej znaleźć się w kwatrze. Cekały go nieskończone rachunki wypłat do asygnowania płatnikowi i zrobienie raportu dziennego.

Ciąg dalszy nastąpi.